

Z gnoju powstało wielkie ex nihilo

Przedstawienie Jakuba Skrzywanka jest tyleż dziwne, co zupełnie normalne. „Gargantua i Pantagruel”, wystawiony w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu czterysta pięćdziesiąt cztery dni po toruńskiej premierze w Teatrze im. Wilama Horzycy, intryguje, niepokoi, a miejscami nawet irytuje, choć przy tym odpręża i bawi. Doprawdy nietypowa to mieszanka, jednak bez wątplenia satysfakcjonująca.

Opolsko-toruński spektakl rozgrywa się w przestrzeni napięć i niespójności. Właśnie one, przez cały pokaz, intrygują najbardziej, choć nie jest tak stale – prezentacja bywa denerwująca, trudna w oglądaniu, ale jeśli już odbiorca zмага się ze wspomnianym trudem, to w przekonaniu, że warto go znieść. Skrzywanek proponuje bowiem widzom taki obraz świata, który na wielu poziomach jest niespójny. Jego postaci, broniące zawzięcie prawd wiary i wypowiadające wojnę wszystkim bluźniercom, wydają się nieudolne, karykaturalne i groteskowe, jednak poruszają się w przestrzeni bardzo precyzyjnie zaprojektowanej, skończonej. Poczucie misterności towarzyszy widzowi już od samego wejścia na salę teatralną – scenografia, za którą odpowiadają Anna Maria Kaczmarska i Mikołaj Małek, robi duże wrażenie, jawi się jako otwarta i w pewnym sensie laboratoryjna (przemysłana, nieprzypadkowa). Okazuje się to o tyle istotne, o ile już na tym poziomie dochodzi do wyraźnego zgrzytu: gdy postaci wydają się niewydarzone, przypadkowe, żywcem wyjęte z niezbyt śmiesznego kabaretu, przestrzeń, po której się poruszają, jest jakby spoza ich porządku.

Właściwie nie wiadomo, gdzie i kiedy rozgrywa się akcja – czy to średniowiecze, współczesność, czy daleka przyszłość; nie wiemy również, czy towarzyszymy początkowi wszystkiego, obserwując swego rodzaju wielki wybuch, moment narodzin, czy jesteśmy już u kresu, u końca świata. Do każdego okresu tak samo dobrze pasuje wiszący nad sceną neon „Memento mori”. Śmierć jawi się w tej inscenizacji jako temat najważniejszy, choć dla bohaterów jest zupełnie nieistotna. Najbardziej zajmująca jest dla nich ich własna natura, to, co mogą ze sobą i wobec siebie robić – trochę na poważnie (jako obrońcy dogmatów wiary), a trochę w ramach donkiszotowskiej walki z wiatrakami. Wprawdzie postaci wpisane są w odwieczny cykl życia i śmierci, a samo przedstawienie rozpoczyna się od symbolicznych narodzin Gargantui, jednak sprawy ostateczne są tu niejako marginalne. Przez dziwaczność i bizarność wszystkich scenicznych działań, realizowanych w oparciu o pogrążanie się bohaterów w niesmaku czy w nietakcie, zostają ośmieszzone i zrewidowane tematy, które dziś w naszej szerokości geograficznej wydają się najważniejsze – mam na myśli kwestię narodzin i znaczenie religii. W wielu miejscach pokaz mógłby wydawać się obrazoburczy (właściwie od potencjalnej kontrowersyjności reżyser wychodzi, gdyż spektakl rozpoczyna się od obrzędu liturgicznego, przypominającego mszę świętą), gdyby nie to, że stale dystansuje się on zarówno wobec świata rzeczywistego, jak i wobec samego siebie. Za bardzo działania bohaterów naznacza absurd i groteska, by cokolwiek – choćby rzucanie po scenie płodami, parafrazowanie modlitw czy zapychanie heretykowi ust „czarnym urągającym inteligencji widzów kutasem” – mogło szokować. Wszystko jest tu zgrywą i dla zgrywy, każde działanie jest wzięte w cudzysłów, choć cała ta nedorzecznosc jest w istocie zupełnie na poważnie.

Mówiąc o niespójnościach, mam na myśli nie tylko wspomniany rozdźwięk między scenografią a sposobem, w jaki funkcjonują postaci, lecz także obecne podczas oglądania spektaklu poczucie, że coś się w nim nie skleja, nie łączy. Choć z czasem, po kilkudziesięciu minutach uczestnictwa w przedstawieniu, widz jest już zupełnie pogrążony w akcji, to z początku patrzy na bohaterów niezbyt przychylnym wzrokiem. Nie chodzi tu nawet o niechęć do nich czy brak wiary w ich autentyczność, tylko o swego rodzaju zdziwienie ogólną

kuriozalnością świata przedstawionego. Wydaje się, że w jakimś stopniu w realizacji Skrzywanka zostały zaaplikowane założenia czystej formy Witkacego, bo to, co z początku uchodzi za zupełnie osobliwe i pozbawione sensu (choćby wygląd i zachowanie postaci), ostatecznie jawi się jako oczywiste i naturalne. Potrzeba rozumowego odbierania realizacji zostaje zresztą niejako spuentowana przez jednego z bohaterów retorycznym pytaniem: „Po co? Zawsze po co!”. W wypadku tego przedstawienia należy zrezygnować ze snucia przypuszczeń co do jego przebiegu i wymowy, gdyż ze sceny pada zbyt wiele nieoczywistych opowieści, a reżyser zbyt często prowadzi widzów donikąd, by móc wszystko na bieżąco w głowie porządkować i do siebie dopasowywać. „Gargantua i Pantagruel” dąży bowiem nie tyle do przekazania konkretnej historii czy zbudowania jakiegoś obrazu, ile do obśmiania działań postaci. Mieszanie konwencji (między innymi średniowiecznego teatru z kabaretem oraz realizmu z absurdem) okazuje się w opolsko-toruńskim pokazie strzałem w dziesiątkę, zwłaszcza, że rozchwianie formalne prezentacji znajduje odbicie w kostiumach i scenografii. To, na co zwróciłem uwagę już wcześniej, czyli niewpisywanie się dziwacznych, pokracznych postaci w konsekwentnie zaprojektowaną przestrzeń sceniczną, podkreślone zostaje w ich wyglądzie. Oto mamy przed sobą bohaterów, którzy już sami w sobie – za sprawą swojej powierzchowności, wizualnej strony – intrygują. Są bowiem nie tylko uczestnikami wydarzeń, częścią świata przedstawionego, lecz także quasi-zdarzeniami, jawią się w swej istocie jako mikroopowieści, osobne potencjały. Bo jak inaczej określić Kobietę-Żabę, próbującą rozmawiać z Bogiem, Mężczyznę-Jaszczura, który nie chce uwierzyć w to, że jest jaszczurem czy przyodzianych w liturgiczne stroje przedstawicieli zakonu telemackiego, jeśli każdy z nich jest nie tylko oryginalnie i symbolicznie ubrany, lecz także skrywa w sobie drugiego siebie? Pod koniec, w dość dekadentkich nastrojach, bohaterowie dokonują aktu kapitulacji, symbolicznie ściągając swoje bogate kostiumy. Widzowie zobaczą pod nimi przyległe czarne stroje, na których namalowane są szkielety. To, co chwilę wcześniej wydawało się widowiskowe i w jakimś sensie pełne życia (czego wyrazem były elementy fizjologiczne wpisane w kostiumy), ostatecznie okazuje się liche i marne.

Spektakl, poruszając tematy na pozór przebrzmiałe (średniowieczne walki z heretykami), obnaża absurdalność obecnych dziś w przestrzeni publicznej dyskursów. Choć robi to bez pretensji do mówienia o współczesności, czyli niby mimochodem, jakby niezamierzenie, przez przypadek, to nie ulega wątpliwości, że intencją Skrzywanka było pokazanie, że zupełnie groteskowe starania bohaterów o obronę wiary odpowiadają działaniom dzisiejszym pogromcom bluźnierców (zwłaszcza tych, którzy tak zawzięcie odwołują się do artykułu 196. Kodeksu karnego). Cała sceniczna rzeczywistość jest tak naprawdę pod nich kreowana. Quasi-obrzędy, naśladowanie kościelnych liturgii, seksualność, symboliczne rzucanie płodami, powoływanie do istnienia setek patronek boskich (z Matką Boską Jęczącą na czele) czy pojawianie się na scenie „soczystych kutasów” – to wszystko wręcz prosi się o komentarz, o wyraz oburzenia. Skrzywanek, umieszczając w centrum zdarzeń walkę zakonu telemitów przeciwko heretykom, pokazuje, że w gruncie rzeczy między średniowiecznymi obrońcami wiary i prymem scholastyki a dzisiejszymi coraz bardziej wpływowymi pravicowymi organizacjami nie ma większej różnicy. Czy finał współczesnych walk przeciwko bluźniercom, które coraz bardziej ograniczają naszą wolność, będzie taki sam jak w przedstawieniu? Trudno powiedzieć. Niemniej, jak pod koniec stwierdza postać Moniki Stanek, „z gnoju powstało wielkie ex nihilo”, więc może wszystko w gnój się na powrót odwróci? Nie wiadomo, tylko jedno jest pewne – trzeba pamiętać o śmierci.

Kamil Bujny

Teatr dla wszystkich